

NABARYKKADY

**Idę do sądu pracy.
To, co się wokół mnie dzieje,
to prześladowanie
i pomówienia**

**Z Ewą Wójciak
rozmawiają
Violetta Szostak
i Marcin Kącki**

Ewa Wójciak

- dyrektorka Teatru Ósmego Dnia,
jedna z Jego Iderek, związana
z teatrem od lat 70. Legenda
opozycji i alternatywnej kultury.
Pod koniec lipca prezydent
Poznania wręczył jej odwołanie
z dyrektorskiej funkcji

No i wyrzucili panią. Teraz rozpiszą konkurs i będzie nowy dyrektor Ósemek.

Już to sobie wyobrażam.

Jak?

Jestem dyrektorem z woli zespołu, z którym jeździmy, dajemy spektakle. Każdy, kto przyjdzie, będzie obcy i zostanie przez nas wy-rzucony.

Barykady?

Dopuszczam możliwość rozwinięcia tego w przedłużający się hap-pening.

O planach Ryszarda Grobelnego, by panią zwolnić z funkcji dyrektora, mówiło się od kilku miesięcy. Stało się i Roman Pawłowski napisał w „Wyborczej”, że to tak, jakby zwolnić Tadeusza Kantora z Jego Teatru Critot 2. Tak się pani czuje?

Jestem już zmęczona tłumaczeniem, czym jest ten teatr i jaka była moja w nim rola. Urzędnicy tego nie rozumieją albo nie chcą, choć wiadomo, że gra nie toczy się o jakość zarządzania teatrem, ale o mo-je poglądy, relacje z urzędnikami, opinie o ich pracy, które zawsze wyrażałam publicznie. Nie ma między nami zażyłości, nie dostaję dotacji dlatego, że jestem dla nich miła, prezydent Grobelny jest mi obojętny. Nie bywałam na oplatkach, kolacyjkach, grillach.

Jak panią zwolnili?

Przyszli do teatru czterej panowie w garniturach. Prezydent Gro-belny, jego zastępca Dariusz Jaworski, szef wydziału kultury, prawnik. Usłyszałam, że przyszli zakończyć, wręczyć. Nie widziałam emocji, więc mówię: „Dobra, przestańmy międlić”.

Uzasadnienie?

Nieprawidłowości. Ale to fortel. Uznano, że bez zgody urzędu wy-jeżdżaliśmy na zagraniczne spektakle w ramach delegacji. Wiadomo było, że skoro nie dają mi zgody na wyjazd, to i tak pojedziemy grać, bo to nasze życie. Wiele razy chciałam się skontaktować z Grobel-nym, wyjaśnić sprawę tych delegacji, ale nie miał dla mnie czasu.

Prezydent podpiera się dwiema opiniami: związku zawodowego w teatrze i Związku Dyrektorów Teatrów.

Tyle że są dla mnie pozytywne! A skoro tak, urzędnicy napisali, że widocznie miałam na te opinie wpływ.

Co dalej?

Wyjeżdżamy za chwilę do Niemiec, robimy plenerowy spektakl, za trzy miesiące obchody 50-lecia Ósemek.

Z pani udziałem?

A jakże! Idę też do sądu pracy i proszę o pomoc Helsińską Fun-dację Praw Człowieka, bo uważam, że to, co się dzieje wokół mnie, to prześladowanie i pomówienia.

Awantura zaczęła się chyba rok temu, od papieża. Napisała pani na Facebooku, że „wybrali ch...” na papieża. Wiceprezydent Pozna-nia jako pani zwierzchnik dał pani naganę. Odwołała się pani do sądu. Zaproponowali w pierwszej ugodzie, by pani publicznie przeprosiła. Nie zgodziła się pani.

Tam była cała lista mediów, w których mam przeprosić. Tylko kogo? Papieża? Miasto na świadka w sądzie powołało ks. Pawła Bort-kiewicza [zasłynął radykalną postawą przeciwko gender] i Stanisława Mikołajczaka, szefa Akademickiego Klubu Obywatelskiego [stowa-rzyszenie grupujące naukowców poznańskich sprzyjających PiS]. W kolejnej wersji ugody wycofali się z przeprosin.

Radni miejscy obcięli w tym czasie teatrowi 30 proc. dotacji. Twierdzą, że dostajecie za dużo pieniędzy i za mało gracze.

Choć prawie żaden nie przychodzi na spektakle, a nawet nie orientuje się w naszej działalności. Dostają relacje z naszej pracy, nie mówiąc już o bilansach, bo instytucje kultury podlegają szczegółowej kontroli. Każdy grosz jest policzony. Jeśli twierdzą, że jest inaczej, to dowodzi ich ignorancji albo złej woli. Robimy więcej w stosunku do tego, ile mamy pieniędzy. Teatr bez dotacji nie przetrwa. Nawet gdybyśmy nie wystawiali spektakli, siedzieli i plułi w ścianę, to nie utrzymamy siedziby, zespołu, mimo że w myśl ustawy o instytucjach kultury organizator, czyli w tym wypadku miasto, musi zapewnić minimum. Z czego mamy zrezygnować? Z czynszu, pensji, prądu? Nie mówię już o działalności artystycznej. Od początku zakładaliśmy, że nie tylko gramy, ale tworzymy także miejsce dyskusji, a przykładą się do nas szablony teatru repertuarowego, którym nigdy nie byliśmy. Co więcej – mamy statut, w którym to wszystko jest opisane. Nie mają prawa się czepiać.

Rewolucjonistka

Zapomniano już, że była pani liderką legendarnego Teatru Ósme-go Dnia.

Nie jestem przywiązana do „legendy”, ale to niesprawiedliwe. Moje słowo o papieżu mogło wielu dotknąć, ale powszechne oburzenie to hipokryzja, bo w wielu w prywatnych rozmowach rzuca się przekleństwami. Nikt też nie miał prawa tego rozpowszechniać, bo był to prywatny wpis, choć nadal uważam, że Bergoglio jest winien, i cześć. Jakimkolwiek by był teraz słodziakiem, rozdającym karty telefoniczne uchodźcom. Olśniewającym rozdziałem w historii jest teraz to, że ochrzcił nieślubne dziecko samotnej matki. Jak można to w ogóle nagłaśniać? Przecież to stygmatyzowanie: oto udzielam chrztu dzieciom ślubnym, a tu nieślubnym. Ochrzciłam dwójkę swoich, będąc stanu wolnego. Nikt nie robił z tego problemu. Ale to były czasy, gdy Kościół otwarty był na swoich wiernych.

Jest pani wierząca?

Raczej nie... Na pewno nie w tradycyjnym znaczeniu. Wiara to osobisty problem, myślę, że dla wielu ludzi. Ale z Kościołem dzisiaj nie umiem się pogodzić.

W latach 80., gdy PRL-owskie władze zakazały wam grać, wystawialiście spektakle w kościołach.

Mieliśmy wtedy do czynienia z fajnymi ludźmi Kościoła, ale nie było też złudzeń, że to cały Kościół. To były decyzje pojedynczych księży, którzy dużo ryzykowali. A z instytucji państwowych dzwonili organizatorzy, że są zmuszeni odwołać spektakl „z przyczyn od nich niezależnych”. Nie mieliśmy gdzie grać.

Wyjechaliście za granicę.

Wcześniej przez dziesięć lat nie dostawaliśmy paszportów. Potem dostała je część zespołu, bo chcieli nas rozbić. Część kolegów wyjechała. Ja zostałam, urodziłam dziecko. Dla paszportu wyszłam za mąż za mojego niemieckiego przyjaciela, ale dostałam pieczęć w jedną stronę i musiałam się zrzec mieszkania spółdzielczego. To było ponure, nie wiedziałam, czy zobaczę jeszcze swoją mamę i ojca mojej córki, który zostawał tutaj.

Pożegnałam się, wzięłam dziecko pod pachę i pojechałam, by dołączyć do teatru, który uważałam za sens mojego życia. To było bardzo emocjonalne.

„Mam dosyć świąt rodzinnych, mam w ogóle dosyć tych idyotycznych cklliwości. Chcę mieć tylko was kilkoro, których mogę kochać i z którymi mogę dzielić moje złudzenia” – to pani list do Tadeusza Janiszewskiego z waszej teatralnej grupy. Czyta go pani na początku spektaklu „Teczki”, który ułożyliście ze swoich wspomnień oraz z donosów ubeków na wasz temat znalezionych w teczkach w IPN. Kiedy powstał ten list?

To Wigilia 1970 roku, miałam 19 lat. Byłam zbuntowana. Studiowałam polonistykę. Koledzy powiedzieli mi: „Słuchaj, jest taka grupa, wspaniała!”. Przyszłam, gdy robili przedstawienie, które było karykaturalną wizją obchodzenia państwowych rocznic. To było zachwyca-

Kiedyś nie lubiłam kobiet. Dorastałam w mizoginistycznym klimacie. Mój pierwszy narzeczony utwierdzał mnie, że kobiety są intelektualnie istotami niższymi

jące, tak różne od tego wszechobecnego konformizmu, rytualnej nudy, szarzyzny, której nie mogłam znieść.

Wspominała pani, że na początku była pani rozczarowana, bo po spektaklach, które były wzniosłe, toczyło się zwykle życie. Chłopcy ze studenckich teatrów oblałali dziewczyny na parapetach. A pani chciała teatralnego zakonu.

Krystyna Kofta kiedyś na mój widok powiedziała: „Ty jesteś ta Ewa, która nie pozwalała się żenić kolegom”...

Nie pozwalała pani?

No skądże (*śmiech*). Ale byliśmy wspólnotą, łączyło nas myślenie o teatrze i aktorstwie jako osobistym poświęceniu. Tworzenie tradycyjnej rodziny temu nie sprzyjało. Wielu to nie odpowiadało, zakładali rodziny, odchodzili do normalnego życia.

A wasze jak wyglądało?

Codziennie próby, intensywne ćwiczenia fizyczne, improwizacje, gadanie. Wieczorem moja babcia, która przed wojną była kapitalistką, pytała: „Dziecko, czy wam chociaż za to płacą?”. Mama cytowała przyjaciółkę: „Byłaś taka mądra, tyle mogłaś osiągnąć”. Nie jestem pewna, czy mama tak myślała, ale na pewno niepokoiła się o moją przyszłość.

Z czego żyliście?

Mieszkałymi przy rodzinach, mieliśmy drobne prace. Wykładałam czasem jakieś jedzenie z domu, by zasilić kolegów. Zawsze mieliśmy problem z pieniędzmi.

„Siedziała pod ścianą, eteryczna blondynka obcięta na pazia, w czarnej tunice. Co drugie słowo: »kurwa«. Klócili się o teatr” – tak wspomina cię Adam Borowski, potem jeden z głównych aktorów teatru. Skąd te emocje?

Z teatru zaangażowanego. Zawsze przeklinałam, nie wiem, skąd się to wzięło. Ale przeklinanie jest częścią języka, ludzkiej ekspresji, szczególnie artystów.

Najważniejszy spektakl?

Te ostatnie, z którymi zjechaliśmy cały świat, i może pierwszy, który stał się fundamentem grupy – „Musimy poprzestać na tym, co tu nazwano rajem na ziemi”, o terroryzmie. To strasznie rozpałało naszą wyobraźnię: pracować nad rzeczywistością czy rzucać bomby? **Inspirowała panią Ulrike Meinhof, niemiecka członkini terrorystycznej grupy Baader-Meinhof. Podobno miała pani jej zdjęcie nad łóżkiem?**

Postać graniczna i tragiczna. To do dzisiaj niewyczerpana historia, ale różni nas retoryka. Skoro nie umiałam robić bomb, to chciałam chociaż mówić do końca, wykrzyczeć.

W „Teczkach”, które miały premierę w 2006 roku, siedzieliście na scenie, w tle wyświetlały się wasze zdjęcia z tamtych lat – płękli, młodzi, herolczni. Tęsknił pani?

Młodzi często mówią, że tamte czasy były heroiczne, że była wprawdzie bieda, ale ta satysfakcja z bycia na barykadach!... Gaszę ich. Byliśmy młodzi i piękni, ale socjalizm realny był tak szary, beznadziejny jak zimowe poranki. Miałam poczucie, że jeśli nie uciekniemy, to nas to zabije.

„Jeśli chodzi o wypowiedzi dotyczące ustroju, zawsze bardzo wrogo odnosi się do wszelkich przejawów życia państwowego i partyjnego” – to notatka służbowa esbeka. Mieliście świadomość, że żyjecie na podsłuchu?

Wiedzieliśmy, że wokół kręcą się wtyki, ale nie przejmowaliśmy się tym. Zaskoczyło mnie później, że mieli w tak wielu miejscach pluskwy.

W teckach z IPN tego jednak niewiele. Moja liczyła 200 stron, zostało 70. Nie wiem, co z resztą. Nie dostaliśmy np. materiałów z czasów, gdy graliśmy w kościołach.

Heroina

Jest takie zdjęcie na początku albumu, który wydałście na 45-lecie teatru: 1984 rok, siedmiu mężczyzn i pani w środku. Ewa Wanat wspominała: „Jeśli grały kobiety, to na imprezach robiły w kuchni kanapki. Tylko Ewa siedziała z facetami. Była w tym świecie jedyną kobietą, która miała coś do powiedzenia”. Jak to się stało?

Kobiet rzeczywiście było w tym świecie niewiele. Mój udział wynikał chyba z siły osobowości, determinacji, energii.

Podobno nie lubi pani kobiet i poważniej traktuje mężczyzn.

Może kiedyś, teraz to się zmieniło. W teatrze jest coraz więcej kobiet.

Z czego wzięło się to „kiedys”?

Dorastałam w mizoginistycznym klimacie. Mój pierwszy narzeczony był taki. Utwierdzał mnie w przekonaniu, że kobiety są intelektualnie istotami niższymi.

Uwierzyła pani?

Na jakiś czas. Wzbudzał we mnie kompleksy. Wobec kobiet miałam zawsze duże wymagania. I nie lubiłam ich, to prawda.

Z reportażu Włodzimierza Nowaka o pani „Kiedy Ewa tańczy tango”, który w 2001 roku ukazał się w „Wysokich Obcasach”, wynika, że wszyscy się w pani kochali. „Heroina” – tak panią wspominają. Albo: „Piękna kobieta o wrażliwości dziecka, a przy tym drapieżna, biorąca facetów, bo chce ich mleć, i to najlepszych”.

Gadanie... Miewałam miłości i przeżywałam dramaty, ale to nie był pierwszorzędny temat. Zawsze stawiałam na teatr, dlatego wiele moich romansów było skazanych na niepowodzenie. A że się kochałam... Powody były dość banalne: byłam chyba ładna i rewolucjonistka.

Żadnych rodzin, dzieci. A jednak...

Miałam 35 lat, gdy Julka się urodziła, i 38, gdy na świat przyszedł Piotrek. To był ostatni moment.

Chciała pani?

Chciałam. Ale jak na komunę teatralną przystało, konsultowałam to z zespołem.

W „Teckach” czyta pani listy do kolegów z teatru. Oni za granicą, pani w Poznaniu: „Otóż jestem w ciąży (...) W przypadku zdecydowania się na dziecko chciałabym, abyście poczuli się współodpowiedzialni za tę decyzję. Czy mogę o to prosić?”. W innym liście tłumaczy pani: „Z całą pewnością nie ma we mnie potrzeby stabilizacji czy, broń Boże, rodziny w tradycyjnym sensie...”. Nie ma pani nadal tej stabilizacji?

Dzieci nigdy mnie nie ograniczały. Piotrką urodziłam, gdy byliśmy z teatrem w podróży po Europie. Prowadziłam busa z brzuchem na kierownicy. Urodziłam po drodze, w szpitalu w Niemczech. Dzieci wychowywały się w teatrze. Z ojemc dziećmi szybko się rozeszło. Podobno wyrzuciła pani jego waltzki z domu, gdy nie chciał iść zapalić zniczy pod pomnikiem poznańskiego Czerwca '56.

To był porządny człowiek, trochę wariat, utalentowany poeta. Ale popadł w oszołomienie religijne. Potem, jak przystało na porządnego katolika, nie uczestniczył w utrzymywaniu nas.

„Bycie czyjąś żoną było dla mnie uwielbienie...” – mówiła pani.

Do dziś uważam, że związek z drugim człowiekiem nie wymaga urzędowych potwierdzeń. W tradycyjnym wychodzeniu za mąż, oddawaniu swojego nazwiska jest dla mnie coś odstręczającego. Byłam żoną dwa razy, ale za każdym razem z „pozamerytorycznych” względów. Raz dla mieszkania, bo w PRL-u dawali za to większy metraż, drugi – dla paszportu. To małżeństwo kosztowało mnie tyle, że do nazwiska swojego musiałam dokleić drugie. Nadal się zresztą tak nazywam, Wójciak-Pleyn, bo jak przystało na prawdziwą anarchistkę życiową, nie pofatygowałam się, by zmienić to w urzędzie.

Anarchistka

Wracacie z emigracji, Teatr Ósmego Dnia staje się miejską instytucją, od 14 lat jest pani jego dyrektorką. Na ile w tym wszystkim oddała pani siebie, która przed laty napisała manifest anarchistyczny? Macie siedzibę w centrum miasta, dotacje, etaty. Przychodzi czasem myśl: po co mi to było? Trzeba było nie godzić się na drobne przywileje, nie przyjmować miejskiej kasy, trwać jak kiedyś, rewolucyjnie, pod prąd.

Myszę, że jestem pod prąd. Nie uważam, że korzystanie z przywilejów miejskiej instytucji sprawia, że artysta musi być posłuszny. Nie czuje pani dyskomfortu, że jesteście buntownikami, anarchistami na miejskim etacie?

Czy będąc na miejskim etacie, trzeba być od razu kupionym? Ale oni jednak dawali wam ten szmal.

Ale kto?! Przede wszystkim są to pieniądze nas wszystkich, obywateli i podatników, a nie jakiejś oligarchii ukrywającej się pod słowem „władza”.

Może władzy po prostu pani nie lubi?

Władza nie jest od tego, żeby ją lubić!

Nie zajmuję się dokopywaniem władzy. Jeśli już, to każdej, również kościelnej. Bo odbiera ludziom niezależność myślenia. W tym sensie może jestem anarchistką, ale to nie znaczy, że trzeba się wyrzec dotacji podatników.

Te ostatnie konflikty to nie są spory merytoryczne, dotyczące spektakli, ale pani słownych „happeningów”. Radnych nazwała pani „bandytami”, papieża - „ch...”, dziennikarza, który lustrował pani ojca, „szuja”. Stała się pani radykalną twarzą teatru. Zgodził się pani z tym?

Każde z tych słów jest nie tylko uzasadnione moim temperamentem, ale też adekwatne do poziomu podłości zachowań np. radnych. Zresztą prowokacja jest po ich stronie.

A co na to zespół?

Zapytajcie ich.

Przychodzą i mówią: „Ewa, daj już spokój, nie drażnij!”

Nie. Jesteśmy ze sobą 40 lat prawie i nie stawiam ich pod ścianą, to kwestia ich wyboru. Mam może inny temperament, bo np. propozycja, by zwrócić medale, wyszła ode mnie. To było w 2008 roku. Oddaliśmy Krzyże Kawalerskie, które dał nam prezydent Lech Kaczyński, bo na obchody Marca '68 nie zaprosił Michnika.

Trudno uwierzyć, że nie ma napięć w zespole, bo Idzie pani czasami na czołówkę z całym światem.

Nie mam wrażenia, że nas narażam. Zbyt wiele włożyłam w nas energii, życia, by położyć jedność na szali. Nie wydaje mi się też, bym szła na czołówkę. Jeśli powiedziałam, że radni stosują „bandyckie metody”, to nie było w tym przesady. Bo jeżeli radny, urzędnik, rechoce na posiedzeniu rady, że to „ho, ho, ho, nie żaden teatr, ale bałkańskie biuro podróży”, to mogłabym dać w pysk. Parę razy w życiu posunęłam się do rękoczynów.

Pierwszy raz od 20 lat wasz byt jest zagrożony.

Ojciec był dla mnie całym światem. Moja siostra wspomina go inaczej, podobnie jak brat, bo wobec nich stosował kary cielesne

Nie bronię własnego bytu, bo mam już prawo do emerytury. Możemy mieć biuro w mieszkaniu któregoś z nas i jeździć, grać, zarabiać, ale będę walczyć o to miejsce! Bo jest także dla innych, jedyne takie w tym mieście.

Córka

„Tańcz, dziewczynko, płacz, dziewczynko, twój najlepszy przyjaciel umrze wkrótce i nie odpowie na twoje najważniejsze pytanie” - śpiewa pani w filmie, który wyświetla się na zakończenie „Teczek”. Który to był rok?

Spektakl „Więcej niż jedno życie”, chyba 1981, w karnawale „Solidarności”.

O kim napisała pani ten tekst?

O ojcu. Zmarł, gdy miałam dziewięć lat. Przez lata chorowałam potem na różne nerwice. Ojciec był dla mnie całym światem. Nie pamiętałam właściwie mamy z okresu, gdy żył. Była cudowną, piękną kobietą, ale ojciec był wszystkim.

Jaki jego obraz pozostał?

O to się ostatnio poróżniłam z siostrą. Wspomina ojca inaczej niż ja, podobnie jak brat, bo ojciec wobec nich stosował kary cielesne.

A wobec pani?

Nigdy. Brat jest starszy o 11 lat, siostra o osiem.

Wiedziała pani o tych karach?

Byłam przy tym.

Mimo to jest obraz cudownego ojca?

Bo moja codzienność z ojcem to czułość, którą miałam na wyłączność. Jego talenty, umiejętności - wszystko było dla mnie. Grał na fortepianie, akordeonie, dzięki niemu skończyłam szkołę muzyczną. Wydawał mi się bardzo elegancki w tej popelinowej koszuli, zawsze czystej. Chodził ze mną po lasach, nawet nocami, na rykowską jeleni. Po jego śmierci - chorował na raka - byłam bardzo sama.

Mama, polonistka, kustosz w bibliotece uniwersyteckiej, została głową rodziny, pracowała, zarabiała grosze, a miała nas troje na utrzymaniu.

Pisała pani pośmiertne listy do ojca.

Utykałam listy w ziemi z myślą, że do niego przenikną. Pisałam zobowiązania, przysięgi, że będę lepsza dla mamy i tak w ogóle... Po śmierci bliskiego wdrukowuje się chyba w człowieka jakieś poczucie... winy. Trapi mnie to całe życie. Popadałam w konflikty

w szkole, uczyłam się średnio. I miałam poczucie, że krzywdzę tę moją piękną mamę.

Legenda ojca rosła wraz z panią. Był adwokatem, który bronił w sądzie poznańskich robotników oskarżonych po protestach w czerwcu 1956 roku.

Jak się teraz zresztą okazuje, to nie tylko „legenda”, ale też fakty. Zaliczam do nich m.in. archiwalne artykuły z prasy zachodniej z 1956 roku przedstawiające mowy mego ojca z procesów poznańskich 1956 roku. Ale przez lata nie mogłam się doszukać żadnych po nim rzeczy, dokumentów, listów. Paliło się u nas w piecu i te szpargały chyba spalono. Zostały tylko listy z więzienia, ale takie konkretne, nie było w nich tego, czego szukałam.

Czego pani szukała?

O czym myślał, jakie miał przekonania. Znam to tylko z opowieści matki.

Kiedy pojawia się pierwsza rysa na obrazie ojca?

W reportażu Włodzimierza Nowaka, w którym przytoczono fragment z książki dotyczącej tamtych czasów. Było w niej nazwisko mego ojca, ale nie wzięłam potem tej książki do rąk.

Dlaczego?

Nie miałam czasu.

Może nie chciała się pani z tym zmierzyć?

Pewnie też.

Mówiła pani w tamtym reportażu, że to pewnie pomyłka, że chodzi o kogoś innego. Nie chciała pani burzyć obrazu ojca?

Może.

Na scenie konfrontowaliście się z bolesnymi sprawami, rozliczaliście się z całym światem, ze sobą. Czego zabrakło, by rozliczyła się pani z ojcem?

Wszystkiego. Miałam jego wyidealizowany obraz i te parę słów z książki, i słowa mamy, że ojciec po wojnie pracował w milicji. Może nie chciała użyć nazwy „UB”? Pracował w Rawiczu, był tam też obecny przy wysiedleniach Niemców. Mama mówiła, że widział tam straszne rzeczy i postanowił odejść ze służby, a potem został aresztowany, osadzony gdzieś w Warszawie, ale – stwierdziła mama – nie wiadomo za co. Teraz domyślam się, że mógł siedzieć za tych Niemców.

W ubiegłym roku przyszedł do pani dziennikarz „Głosu Wielkopolskiego”, wyłożył papiery z IPN i powiedział: „Pani ojciec był w UB, wyciągnął z cell osadzonych po wojnie Niemców i zakatował wspólnie z kolegami”. Kilka miesięcy później podczas konferencji prasowej powiedziała pani temu dziennikarzowi, że jest „szuja”, wiceprezydent Poznania za panią przeproszał.

Bo ten dziennikarz jest szuja. Te jego metody... Napisał o moim ojcu, bo byłam gorącym tematem, zaraz po sprawie z papieżem. Znalazłam się nawet na Pudelku, więc dlaczego nie napisać o moim ojcu? Przyszedł do mnie rozmawiać o naganie za papieża, a wyjął nagle

te papiery na ojca. Tak naprawdę historia mego ojca go nie interesowała. Wyczuł koniunkturę na tematy dotyczące mego osoby.

Wierzy pani w winę ojca?

Jestem nieufna wobec ubeckich papierów, ale mój brat twierdzi, że wiedział, iż ojciec był w UB. Ojciec pracował w UB sześć miesięcy w 1945 roku.

Kiedy brat o tym powiedział?

W tamtym roku, po tym artykule o ojcu.

Dopiero wtedy zaczęła się w waszej rodzinie rozmowa?

Moja siostra poszła do IPN. Wróciła i powiedziała to samo co ten dziennikarz „Głosu Wielkopolskiego”. Zrobiłam jej awanturę.

O co?

Że to gówno, a nie papiery. Poszła do IPN z poczuciem, że jak dostanie te dokumenty, to je właściwie zinterpretuje, bo jest emerytowaną sędzią. Jest tam tylko informacja, że ojciec z czterema innymi osobami został oskarżony o to, że pobili tych Niemców, że dwóch zmarło. Chciałabym wiedzieć, co to za Niemcy, kim byli, co zrobili, co wiedział o nich ojciec, jakie mógł mieć motywacje. A tam nic. Siostrze to jednak wystarczyło, bo pasowało jej to do obrazu ojca.

Dlaczego nie przegadaliście tego wcześniej?

Brat wcześniej wyszedł z domu. Być może był ofiarą ojca, jego autorytaryzmu, dążenia do doskonałości. Ojciec jak przychodził z sądu, zdejmował marynarkę, buty na prawidła. Gdy wyrzucał brata z domu, to rzucił w niego takim prawidłem. Ale nie... wierzę w winę ojca, mimo wszystko.

Zrobiła pani przerwę między „nie” a „wierzę”.

Trudno mi to sobie wyobrazić. Może potrzebowałabym więcej dowodów, a jest tylko jeden dokument.

Siostra wierzy.

Nie wierzę, że ojciec był tak zły, że nawet UB mu nie ufało. Innych, którzy bili, nie zwolnili, tylko mego ojca. Dlaczego?

Zrobiliście spektakl o swoich teczkach w SB, groteskowy. A teraz te czki wracają do pani poprzez historię ojca, tragiczną. Może i z tym zmierzy się pani na deskach?

Chcę zrobić spektakl. Formę dokumentu. O moim ojcu i rodzinie Jana Suwarta, robotnika, uczestnika poznańskiego Czerwca '56, w którego procesie ojciec występował jako obrońca.

Rozliczenie?

Nie mam narzędzi ani wiedzy, by się z moim ojcem rozliczyć. Nie potrzebuję też autoterapii. To byłby dyskurs o Polsce, historii, o tym, że mamy dziadków w UB, a potem ojców chodzących w protestach przeciw komunizmowi. I że się wypieramy tej historii komunistycznej. Że udajemy, że wszyscy byliśmy w opozycji. ■